



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

MARYA JULIA Z PERŁOWSKICH ZALESKA.

Wicie już młodzi czytelnicy „Wieczorów”, że w dniu 10 b. m. opatrzona ŚŚ. Sakramentami na drogę wieczności, zakończyła życie Marya Julia Zaleska, długoletnia kierowniczka niniejszego Pisma. Ta, którą nazywaliście „Kochaną panią”, nie odezwie się już więcej: usta które tak umiały przemawiać do was mądrze i serdecznie, umilkły na zawsze.

Znacie ją z jej licznych książek i artykułów, ale nie znacie przebiegu jej życia: opowiem je wam pokrótce, bo nie było ono zbyt obfitem w wypadki nadające się do dłuższej opowieści. Urodziła się pod Czehrynem, we wsi Medwedówce, w r. 1831, następnie rodzice jej przenieśli się do gub. podolskiej.



Językiem najwięcej używanym w domu państwa Perłowskich, rodziców ś. p. Julii, był język francuzki, znała go też w dzieciństwie lepiej niż ojczysty. Z dziełami Mickiewicza spotkała się dopiero w ośmnastym roku życia, i te tak silny wpływ na nią wywarły, że zaczęła ukradkiem pisywać wierszyki. Języka niemieckiego nauczyła się od nauczyciela muzyki, niemca, a angielski sama sobie przyswoiła. Na żadnej pensyi nie była, a wysokie ukształcenie jakie posiadała, samą sobie tylko była winna, swemu gorącemu pragnieniu wiedzy.

Ojciec jej zarządzał dobrami p. Róży Sobańskiej: znajdowała się tam biblioteka, obficie zaopatrzona

w dzieła francuzkie i niemieckie dla młodzieży, z których czerpała młoda dziewczynka dowoli, i tak zasmakowała w nauce, że potem już szukała jęj wszędzie, gdzie tylko znaleźć ją mogła. Szczególniej miłowała nauki ścisłe, znała biegle matematykę, algebry nauczyła się z książek ojcowskich, a księga przyrody była dla nięj skarbnicą, dającą pomysły do najpiękniejszych prac. Minerale, zwierzęta, rośliny, gwiazdy nawet, nie miały dla nięj tajemnic. Rozumiała ich życie, naturę, obyczaje — i jak wróżka dobroczynna wprowadzała w ten świat tajemniczy młodzież, tłómacząc jęj najtrudniejsze do pojęcia prawidła przyrody w sposób dziwnie przystępny, jasny i pociągający. Ziarna mądrości sypała w postaci kwiatów, których barwa i woń tak były pojętne, że nauka wsiąkała w młodociane umysły nie nużąc ich wcale, jak szlachetna rozrywka, jak zabawka prawie.

Gruntowną znajomością astronomii, zadziwiała astronomów, którzy czytając jęj „Pogadanki naukowe”, wierzyć nie chcieli że wyszły z pod pióra kobiety; głębokością zaś poglądów w kwestyach społecznych i filozoficznych, dawała do myślenia filozofom, którzy zdania jęj ukryte pod męzkim pseudonimem, stawiali obok zdań najznakomitszych myślicieli. I do tęg uczoneści, dzielna ta kobieta doszła tylko własną pracą, samouctwem, bo dom nie dał jęj w tem żadnej pomocy. Ojciec zajęty był gospodarstwem rolnem a matka domowem, sama zatem zdobywać sobie musiała wszystko i osiągnęła nareszcie to, czego pragnęła. Jakiż to piękny przykład do naśladowania, dla was!

W r. 1855 ś. p. Julia wyszła za mąż za p. Seweryna Zaleskiego, doktora medycyny i zamieszkała najprzód w Niemirowie a potem w Kamieńcu Podolskim. Bóg ją obdarzył trzema synami, z których najstarszy umarł w dziesiątym roku życia, po dziesięciodniowej chorobie, ciężką i nigdy niewygasłą boleścią napełniwszy serce matki. Dwaj młodszy wychowali się szczęśliwie i przez nią samą długo kształceni byli. Dla nich to rozpoczęła pisać swe książki naukowe, z których potem korzystały wszystkie dzieci polskie. Pierwszą jęj pracą były „Wieczory czwartkowe” zawierające popularny wykład fizyki. Książka ta miała świetne powodzenie i doczekała się kilku wydań. Pisząc ją właśnie, uczuła brak gruntownej znajomości języka polskiego; zabrała się więc do usilnej nad nim pracy, i przy pomocy gramatyki Małeckiego doszła do takiej biegłości, że potem jako autorka celowała łatwością wyrażania myśli, potoczystością stylu, pięknnością języka, obok nadzwyczajnej jasności i prostoty. Za „Wieczorami” poszło wiele innych prac, zawsze mających na celu popularyzowanie nauki. Czytaliście zapewne „Wędrowkę po niebie i ziemi”, wykładającą w przystępny sposób kosmografię, „Obraz świata roślinnego”, „Świat zwierzęcy w obrazkach”, „Gwiazdkę dla grzecznej dziatwy”, „Świątek Zosi”, „Snopek”, „Z pałaców i chat”, „Listki i ziarenka”, „Wakacje Janka i Zosi”, „Przygody młodego podróżnika w Tatrach”, „Dwie siostry” powieść nie naukową, ale pięknymi nacechowaną dążnościami — wreszcie „Niezdolnych królewiczów”. Powieść ta cudownie piękna, napisana dla dzieci młodszych, ale przez dorosłe nawet osoby z przyjemnością czytana, drukowana była w „Wieczorach”, równie jak niektóre wymienione wyżej prace oryginalne i przekłady o których wspomnimy poniżej. Jestto prawdziwe arcydzieło w swoim rodzaju, arcydzieło jakiemu równego nie posiadamy w naszej literaturze dla młodzieży, i jakiego pozazdrościć nam może litera-

tura europejska. Z czasem zostanie ono pewnie przetłómaczone na obce języki, jak i wiele innych utworów p. Zaleskiej, w zupełności na to zasługujących.

Oprócz prac oryginalnych, przyswoiła językowi naszemu z angielskiego: Mayne-Reida: „Młodzi żeglarze”, „Półów potworów morskich”, „Przygody myśliwskie”, „Dolina bez wyjścia”, „Ziemia ognista”; Coopera: „Mieszkaniec puszczy”; Rotha: „Młody wygnaniec”; miss Hodgson Burnett: „Mały lord”. Z francuzkiego przełożyła dowolnie: „Wyprawa po skarby ukryte wśród puszczy”, oraz „Bajeczki prawdziwe” Zuzanny Kornaz. Razem puściła w świat dla młodzieży dwadzieścia ośm tomów, nie licząc utworów znajdujących się obecnie pod prasą, lub zostawionych w rękopiśmie.

Oprócz dzieł wyżej wymienionych, napisała utwór dramatyczny dla osób dorosłych, p. t. „Prawa kobiety” odznaczony na konkursie i przedstawiony na scenie poznańskiej. Drukowała go „Kronika rodzinna”, która najpierwsza pomieszczała jęj artykuły ze świata naukowego, oraz wiele innych różnorodnej treści. Dla dorosłych także wyszła w r. 1867 jęj książka p. t. „Pogadanki naukowe” i odbitka z „Kroniki rodzinnej” „O znaczeniu posłuszeństwa w wychowaniu”.

Osiadła w Warszawie w r. 1867, a w r. 1879 objęła kierunek literacki „Wieczorów rodzinnych”. Pracowitość tęg kobiety była prawdziwie zdumiewająca: oprócz prac oryginalnych i tłómaczonych, oprócz artykułów z nauk przyrodniczych, pomieszczanych niegdyś w „Zorzy”, i nieistniejącym już tygodniku „Przyroda i przemysł”, oprócz sprawozdań naukowych do „Kłosów” i „Kroniki rodzinnej”, oprócz mozolnych zajęć redakcyjnych, znajdowała jeszcze czas na liczne korespondencye, nie tylko z dorosłymi ale i z dziećmi, na przeglądanie prac i udzielanie rad młodym autorom, którym nigdy nie odmawiała zachęty i pomocy — wreszcie na dobroczynność. Ubodzy i cierpiący, znali ją i kochali.

Zdrowia nader delikatnego, od lat wielu już była mocno cierpiącą na płuca, a później na artretyzm. Ostatnie to cierpienie, pociągające za sobą nabrzmienie stawów u rąk, pozabawiło ją jednej z największych przyjemności, bo możliwości zajmowania się muzyką w której miała wielkie zamiłowanie, i którą doprowadziła do stopnia wysokiego artyzmu. Pomimo strasznych cierpień pracowała do ostatniej chwili życia, bo dopiero na trzy dni przed śmiercią położyła się do łóżka. Od czterech lat nie wychodziła z domu, a od trzech prawie nie wstawała z fotelu, do którego przykuwała ją niemoc. Łzy cisnęły się do oczu, na widok tęg szlachetnej postaci, nadludzkim wysiłkiem woli pokonywającej cierpienie; na widok ręki nabrzmiałej z bólu, trzymającej jednak pióro wytrwale, choć każdy ruch tęg ręki był bolesny! Nie mogąc utrzymać jęj na wyższym poziomie, pisała na kolanie, na podkładzie z płóciennęj teczki, a pismo było piękne i wyraźne, bo miała słabość do kaligrafii. Uczyła ona swoim przykładem wytrwałości w pracy i mężstwa w cierpieniu. Było to bohaterstwo ciche, ale tak wielkie, że wszystkie rozgłosne przy niem blade — ona zaś sama, tym co się nad nią zdumiewali, mawiała z prostotą, że to jęj właśnie sił dodaje i pozwala zapominać o cierpieniach. Kto ją choć raz widział, ten zapewne nie zapomni jęj nigdy, ani pomyśli o nięj bez wzruszenia.

Kochała ona serdecznie młodzież, która też dawała jęj dowody przywiązania: odbierała ze wszech stron kraju, od dzieci, setki liścików, fotografii, kwiatków zasuszonych i świe-

zych, a te objawy wdzięczności i pamięci wzruszały ją do głębi. Łagodne jęj, rozumne szare oczy, napępniały się łzami rozrzewnienia, a usta tchnące wyrazem niewypowiedzianęj dobroci, ożywiały się uśmiechem. Kochała was bardzo młodzi czytelnicy i pragnęła waszego dobra, a to pragnienie i ta miłość podtrzymywały gasnące życie. Kto krok za krokiem śledził jęj pożyteczną działalność, widział że nietylko wiedzę własną przelać w was pragnęła, ale i uczucia obywatelskie zaszczerpić. Obywatelką była w całym znaczeniu tego wyrazu, i pragnęła aby młodzież której przewodniczyła, na pożytecznych obywateli wyrosła.

Wielkie serce przestało bić, ale jeżeli wy coście czytali utwory Maryi Julii Zaleskiej, zrozumieliście jego uderzenia, to ta która was opuściła, żyć będzie zawsze w waszych sercach, przez pracę wytrwałą, przez myśli szlachetne, przez męstwo i siłę woli, przez cierpliwość, dobroć, miłosierdzie i miłość bliźniego, przez czyny obywatelskie, przez wszystko do czego natchnęły was jęj dzieła i jęj przykład.

Kwiaty tak przez nią ulubione, pokrywały całkowicie jęj trumnę wiezioną ku Powązkom. Na wieńcach były następujące napisy: „Najdroższej matce”, „Od młodych czytelniczek”, „Od współpracowniczek”, „Od Przeglądu pedagogicznego”, „Od redakcyi Kłosów”, „Od Wieczorów rodzinnych i Kroniki rodzinnej”, „Od Ludwiki Hauke”, „Tęj co dla małych wielką miłość w swem sercu znalazła”. Wiosna za którą tęskniła i która miała jęj przynieść trochę zdrowia, owiała ciepłem tchnieniem jęj grób! Nad grobem tym unosi się błogosławieństwo matek, wychowawców, i nauczycieli.

W piękny, słoneczny dzień, pożegnała wszystko co kochała na ziemi — i was też niniejszem wspomnieniem żegna przez moje usta... Dojdzie was głos ten w uroczyste dni świąt, gdy wszyscy u ognisk rodzinnych zgromadzeni spotykają się radosnem „Aleluja”; niechże uroczyste sprawi na was wrażenie, niech da pobudkę do zastanawiania się nad sobą i do szlachetnych postanowień!

Kochajcie przyrodę, którą ona tak miłowała, przez nią to bowiem najgłośnieję przemawia do was mądrość i wielkość Boga.

Redakcyja „Wieczorów rodzinnych” w dowód najwyższej czei dla pamięci zmarłej, nadal Pismo to w duchu przez nią wskazanym prowadzić będzie.

Zofia Urbanowska.

Najnowsza powieść Deotymy.

(Dalszy ciąg).

Ujrzawszy się w posiadaniu takich bogactw, Ludmiła uczyniła niezwłocznie postanowienie, które podczas tęj podróży zrodziło się i dojrzewało w jej umyśle. Kochając nad życie Elżbietę, nie mogła przenieść na siebie, by tę jedyną, najdroższą przyjaciółkę opuścić w nieszczęściu, pozostawić bez ratunku na pastwę dzikich prześladowców. Przez całą drogę wypytowała się Wasyngi o zwyczaje Mongołów, ich upodobania, uczyła się nawet ich języka. Z opowiadań Chasara wyrozumiała, że za pieniądze, za klejnoty, można od tych ludzi chciwych i okrutnych wszystko otrzymać, a więc i niewolników wykupić. Szukała tylko sposobu, jakby się dostać napowrót do obozu, gdzie Elżbieta w szponach Arguny pozostawała. W pierwszej chwili sądziła, że wierny Rafał zechce jęj towarzyszyć, lecz ten na samę wzmiankę o szalonych zamiarach swęj pani tak się przeraził, iż Ludmiła za-

niechała tęj myśli. Powierzyć takiej sprawy obcemu nie mogła, ale i samęj jednęj puszczać się pomiędzy Tatarów było także niepodobieństwem.

Opatrzność przyszła z pomocą szlachetnej dziewczycy, niespodziewana sposobność nadarzyła się właśnie wówczas, gdy miała w ręku bogactwa, przywiezione przez Rafała i mogła temu wiernemu słudze powierzyć dziecię Elżbiety, aby je odwiózł do ojca, lub w razie, gdyby Sulisław już nie żył, do księdza Macieja, brata Elżbiety. Nadchodziły też najpomysłniejsze pogłoski o świetnych zwycięztwach wojsk chrześcijańskich nad Tatarami, wieść o pogromie pod Ołomuńcem i odparciu pohanów od tego miasta najżywszą radością przejmowała wszystkich, zdawało się, że groźny nieprzyjaciel na zawsze został pokonany i przestał być niebezpiecznym.

Dnia pewnego gromadka naszych podróżnych zatrzymała się w obszernej *czardzie*, gospodzie węgierskiej, gdzie przedtem już rozgościli się jacyś wędrowcy z ogromnym taborem. Byli to kupcy Włosi, jadący na wschód, do Tany, osady genueńskiej w Azji. Ci ludzie nie obawiali się niczego, nawet Tatarów, w najlepsze z nimi prowadzili handel, bo, rzecz dziwna! podczas gdy wszystkie inne ludy drżały przed najazdem tych barbarzyńców, Genua, rzeczpospolita morska, miała u nich mir jakiś szczególny i w zgodzie z nimi żyła. Ludmiła potrafiła wymową swoją i urokiem niepokonanym zjednać sobie pomoc jednego z kupcyków, imieniem Beppo, zwierzyła mu się ze swoich zamiarów, i postanowiła przyłączyć się do tęj karawany. Ucięła piękne warkocze, krótkie włosy ziała czarną farbą, za pomocą innych farb różnych zmieniła i twarz do niepoznania, przebrała się za chłopca posługacza i uściskawszy śpiącego Jasia, poleciwszy go opiece zacnego Rafała, wyruszyła znowu na wschód, przebyła rzekę Prut i zapuściła się dalej w stepy. Przy rozstaniu z Wasyngą, wręczyła mu dokument, na mocy którego Chazar przybędą miał wejść w posiadanie jednego z najpiekniejszych jej dziedzicznych zamków z włościami. Tym sposobem spłacała dług wdzięczności i obietnicę uczynioną Wasyndze spełniała.

Koczowisk tatarskich nie było już w tem miejscu, zkąd jej się udało umknąć, posunęły się na wybrzeża morza Czarnego, aż przy Limanie dniewprowym pohanicy rozłożyli namioty, i konie puscili na pastwiska. Wszędzie, gdzie autorka opisuje odrębny rodzaj życia tych ludzi, którzy przez czas tak długi trzęśli światem, możemy być pewni, że maluje z natury. Wszystkie te obrazy są czystą prawdą, z najpoważniejszych kronik współczesnych, lub opowiadań podróżników czerpaną. Posłuchajmy:

„Przy iskrzącym zachodzie słońca na widnokręgu zajaśniał olbrzymi Liman dniewprowy, razem ujście rzeczne i zatoka morska, pocięty wyspami, pokrecony w odnogi, potężny a dziwnie spokojny, jak lew, gdy usypia. Nad wodą czerniały przed podróżnymi poszczerbione i okopcone gruzy jakiejs Kumańskiej warowienki, co stanawszy na rozsypiskach starych, scytyjskich szańców, dziś już razem z niemi się rozsypywała. A przy tym niedogryzionym trupie dwóch znikłych panowań, zwinięty nakształt potwornego węża, pomrukujący zmieszaniem gwarami, wylegiwał się w piasku ciemny obóz tatarski.

Mówimy *ciemny*, bo nie trzeba sobie wyobrażać koczowisk tatarskich na podobieństwo europejskich lub nawet beduińskich obozów. Pod gorącym niebem Arabii lekki namiot wystarcza. Żołnierz naszych krain może się zadowolić nakryciem płóciennem, bo rozpina je tylko na czas wojny. Ale Mongoł koczuje całe życie, a chociaż posiada kamienną wytrzymałość, jednak ani płótna ani barwy białej nie zniósłby na swoich zimnych stepach.

Jurty mongolskie były to raczej koliste altanki, stawiane z pali w krąg zatkniętych, połączonych u góry spiczastym spletem żerdzi, co im nadawało postać wielkich, okrągłych ulów. Całą tę przezroczystą budowę osłaniano płatem czarnej, albo ciemno-brunatnej pilśni. Tylko przy wielkich uroczystościach obóz tatarski przyoblekał się w białe opony.

Wnętrze jurty było ubrane wedle zamożności mieszkań-

ców. U biedniejszych w rogózki i wołłoki, u bogatszych w kobierce i różne pościółki; nieraz najpyszniejsze dywany bagdatkie, największe indyjskie szale, nieraz krzyżami za haftowane poduszki z polskich ołtarzy, walały się na stepowej trawie, wśród kurzu i popiołu. Tego ostatniego nigdy nie brakowało, bo w samym środku jurty zwykle palił się ogień, z którego dym wychodził przez okrągły otworek, wycięty w nakryciu. Przy pilśniowych ściankach stały skrzynie i wory, pełne zrabowanych ubiorów, sprzętów, kosztowności, stały i niziutkie ławy, służące za stoliki, na których często można było dostrzedz chińskie porcelany i kościelne kielichy lub ampułki, obok drewnianych naczyń do kumysu. U najbogatszych znajdował się jeszcze niekiedy sprzęt niski, szeroki, bogato wysłany, z dwoma wałkami po bokach, prawdziwa wschodnia „sofa“, którą po niedawnym podbiciu Persyi Tatarzy wielce sobie upodobali.

Trzeba przyznać, że dla ludzi, żyjących w nieustannej podróży, takie domostwa były dość mądrze obmyślane. Jak tylko zabrakło paszy, odpinano wołłoki, wyjmowano żerdzie, wszystko szło na wózek i dalej, gdzie oczy poniosą! W czasach wypoczynku wozy, pospinalane w okół obozowiska, tworzyły rodzaj obronnego szańca, którym ci wielcy złodzieje rzadzi się otaczali, bo zaprawdę, mieli czego pilnować.

I ten oto obóz, taki na pozór posępny i ubogi, zawierał wielkie bogactwa, dusił w swoich jurtach wszystkie łupy, związane z polskiej wyprawy. To też przy każdym wejściu stały mocne strażę. Kupcy musieli długo się opowiadać i opłacać, zanim ich do wnętrza wpuszczono. Tymczasem Beppo zwrócił się ku Ludmile i składając ręce, błagał cichym szeptem:

— O, signora! Tu zachowujcie się jeszcze ostrożniej niż dotąd, ach! tu dopiero grożą wam prawdziwe niebezpieczeństwa... wszyscy was tu widzieli tak niedawno! Nie szukajcie nazbyt pilnie waszej signory Elisabetty, nie kręćcie się między ludźmi. Już ja sam wszystko zrobię, wszystko znajdę.

Ludmiła obiecała, że będzie przezorną i cierpliwą, jednakże kiedy wjechali do obozu, kiedy na wyznaczonym stanowisku zaczęto wyładowywać towary, bijące serce nie dało jej spoczynku, wymknęła się z pośród karawany.

Zmrok już zapadał; pod jego zasłoną, pewniejszą niżeli wszystkie przebrania, krążyła bez wielkiej obawy po wązkich uliczkach, wytkniętych między jurtami, poznawała mnóstwo znajomych sobie twarzy, a szczęśliwy przypadek czy przecucie zaprowadziły ją wkrótce do szukanego celu. Spostrzegła Ajdara. U wejścia jurty obszernej, wspaniale wewnątrz upstrzonej, stał w swoim zielonym kaftanie, z rękami na piersiach złożonemi, z głową smutnie spuszczoną, zadumany, nieledwie rozmarzony, co u Mongoła było prawdziwym zjawiskiem. Szukająca nie zwróciła nawet uwagi na jego zadumę, tylko pomyślała z radością:

— O! kiedy on tu mieszka, to musi gdzieś blisko być Toktyz z całym swoim dworem.

Istotnie, o kilkadziesiąt kroków dalej spostrzegła gromadę namiotów nieco odosobnioną, a przed jednym z nich... o Boże! to ona, Elżbieta! Siedziała na ziemi, u samego wejścia do jurty, ogień, palący się w namiocie, oświecał ją z tyłu i mocno rysował jej prześliczny, dziś wychudły, wyciągnięty profil. Była odziana w ubiór prostych sług tatarskich: granatowy chałat z grubej wełny, przewiązany czerwoną taśmą i śpiczasty kołpaczek z czarnej pilśni. Na kolanach trzymała chłopczyka, dużo większego od Jasia, z czarnym roztarzanym łebkiem, z twarzą płaską, wkłęsłym nośkiem, z buzią od ucha do ucha, którą teraz na domiar brzydoty przez sen nieco roztworzył. Elżbieta podkołysywała na rękach rozwalone to straszdełko, śpiewając piosenkę wszystkich polskich matek i piastunek:

Lu—lu—lulusiu —
Mój ty złoty lalusi.—

Piosenka cudna w swojej niemowlęcej niewinności, rozczulająca w prostocie swojej nuty i tekstu, zwłaszcza kiedy

nas doleci na wygnaniej obczyźnie. Ach! gdyby nawet nie z rysów, to już po głosie i po owej piosence macierzyńskiej byłaby ją szukająca odrazu poznała. Elżbieta nuciła niby dla owego tatarskiego dzieciaka, ale w duszy przesyłała pewnie tę piosenkę dla innej dzieci, bo jej oczy były szklisto utkwione w jakąś dal niepochwytą i myśl zdawała się nieobecna w tem półmartwym obliczu.

Ach! gdyby nikogo prócz Elżbiety nie było w namiocie, Ludmiła, na nic nie zważając, podbiegała do niej, uściśnięła by jej rękę, uspokoiła jej tęsknotę... Ale w jurcie kręca się dwie niewiasty, jedna, stara Ujgurka, z chustą czarną na głowie, warzy coś w kociołku nad ogniem; druga, młoda Mordwinka, w butach i kożusku, z blaszanym dyademem, od którego wielka grzywa końska, na zielono malowana, zwiesza się aż do kostek i tworzy na plecach ruchomy płaszcz trawiasty. Nieznośna ta Mordwinka! Co chwila przychodzi do piastunki, klepie ją po ramieniu, jakby chciała rozbudzić zadumaną, i znów powraca do kociołka.

Ludmiła nie wiedziała co ma czynić dalej. Odejść? Ani sposób! Nie mogła stać na miejscu ani wpatrywać się w Elżbietę; więc przechodziła tam i napowrót kilka razy, oglądając się zawsze i powłócząc długiem, wymownem spojrzeniem. Ta uporczywa przechadzka, te przenikliwe rzuty oka, zwróciły na koniec uwagę Elżbiety. Podniosła oczy, zdziwiona, co to za człowiek taki hardy czy litościwy, a pomimo przebrania Ludmiły coś w rysach i ruchach tego przechodnia przypominało jej drogą postać. Oczy serca bystrzejsze są od innych. Uśmiechnęła się jednak ze swego złudzenia i powiedziała sobie:

Przecież to mężczyzna. Zresztą ona, chwała Bogu, daleko!..

(d. c. n.)

Wiosna w Laponii.

Mieszkańcy podbiegunowych krajów nie znają takiego lata, jak u nas. W porze, tak przezwaną, niema wprawdzie ciężkich mrozów, morze rozmarza i rzeki z lodowych oków się wyswobadzają, lecz ciepło prawdziwe, ożywiający przyrodę cała, nawet i na krótko nie rozwesela tych wydziedziczonych okolic. Największą różnicę stanowią dni długie; przez czas pewien słońce prawie nie zachodzi, zaledwie ukryje się na jednym krańcu widnokręgu, a już na drugim wypływa. Smutne, ponure są krajobrazy północne, nawet zieloność ma odciń ciemny, świerki, mchy, porosty, stanowią główną roślinność.

Pracownia pana Adama.

POGADANKA NAUKOWA.

— O, panie Adamie! — wołała wesoło Helenka, wbiegając do mieszkania sędziwego przyjaciela — wiosna już przecież musi zawitać do nas, bo przechodząc przez Saski ogród widziałam na własne oczy jakieś latające i brzęczące owady. Zkądże się wzięły tak wcześnie?

— Niektóre owady wcześniej bardzo z wiosny się ukazują — odrzekł p. Adam — są to po większej części takie gatunki, które na zimę zasypiają w jakiejś kryjówce. Ale często także, przezimowawszy w stanie poczwarki, wykluwają się zaraz z pierwszym wiosennym ciepłem.

— Nie wiedziałam, że owady mogą przespać zimę; słyszałam to o różnych zwierzątkach, pamiętam i tę jaskółkę, o której p. Adam opowiadał.

— Już skoro Helenka wspomniała owady — mówił pan Adam — moglibyśmy też o nich trochę porozmawiać. Znalazłoby się ciekawych szczegółów немало.

— O owadach?—odezwał się Wacław—ech, proszę pana ktoś to już nie wie wszystkiego o owadach. Ze odbywają przemiany, z gąsienic powstają poczwarki, z poczwarek motyle lub żuki, to już teraz i małe dzieci rozumieją. To takie rzeczy oklepane; nie zdaje mi się, żeby i pan nawet znalazł jeszcze co nowego i ciekawego do opowiadania o owadach.

— O, mój Wacławie, jakże się mylisz! — zawołał sędziwy profesor, składając ręce — tobie się zdaje, że wiesz, jak powiadasz, *wszystko* o owadach. Cóżbyś na to powie-

— A jednak o tych przemianach masz tylko ogólnikowe wyobrażenie, gdybyś przypatrzył się bliżej, jak się ta sprawa odbywa, możeby cię zaciekała. Zdziwiająca to jest prawdziwie, że instynkt, ta władza cudowna, zwierzętom właściwa, z największą potęgą występuje, nie u słonia, małpy, lub innych stworzeń, wyżej rozwiniętych, okazalszych rozmiarów, lecz u drobnych niepozornych owadów. Osa, pszczoła, mała mrówka, takich dzieł dokonywają, do jakich człowiek z całym swym rozumem nie jest zdolny. Czy potrafiłby kto bez cyrkla i linii ulepić regularny plaster miodowy!

— To czysta prawda — rzekł Wacław — ja to już



Wiosna w Laponii.

dział, gdybym ci pokazał trzy spore tomy zapisane wiadomościami o owadach, i to wyłącznie tylko o błonkoskrzydłych, które w tej niezliczonej gromadzie stanowią jeden rząd odrębny obok wielu innych. A książki te nie są pisane dla początkujących, więc nie znalazłbyś w nich tych szczegółów oklepanych o przemianach, które się mieszczą w podręcznikach naukowych. Owe trzy tomy są zbiorem spostrzeżeń zupełnie nowych, autor sam śledził obyczaje różnych owadów, jak wspomniałem, tylko błonkoskrzydłych i to nie liczących gatunków. Na zbadanie obyczajów wszystkich owadów, nawet jednej miejscowości właściwych, nie starczyłoby życia człowieka.

— Ach! panie Adamie, pan pewnie ma te książki, żebyż to się można było dowiedzieć, ce ten autor za ciekawe rzeczy podpatrzył! — tak prosiła Helenka, a Wacław dodał trochę zawstydzony:

— Bo o tych przemianach, o liskach, poczwarkach i tym podobnych historyach, tyle się człowiek nasłuchał i naczytał, aż do uprzykrzenia.

sobie nieraz myślałem, że zwierzęta czasem daleko są mądrzejsze od nas, choć to człowiek niby rozumem od nich się różni.

— Nie chciałbym was wbijać w pychę co do rozumu ludzkiego—z uśmiechem ozwał się p. Adam—a jednak muszę zwrócić twoją uwagę, że instynkt zwierzęcy, nie może być porównany z naszym rozumem. Prawda, że ty nie zrobisz plastru miodu, ale ty za to jesteś w stanie wykonać mnóstwo najrozmaitszych prac, których mozolnie się uczysz; pszczoła zaś każda i to od czasów niepamiętnych, nic innego nie robi, tylko te plasty. Pra-pra-babki dzisiejszych lepiły zawsze takież same, nie gorsze i nie lepsze, jak te, które dziś lepią ich prawnuczki.

— To prawda! — wołała Helenka, klaszcząc w ręce — nasz rozum jednak coś więcej znaczy.

— Ludzie także — mówił dalej p. Adam — posiadają pewnego rodzaju instynkt. I tak: oddychanie, jedzenie, potrzebne koniecznie do podtrzymania życia; to też Opatrzność nie powierzyła tych funkcji naszego organizmu rozumowi

ludzkiemu, tylko instynktowemu poczuciu, które jest mimowolne, bezmyślne, kierowane koniecznością. Człowiek musi oddychać, a czyni to, jak machina, o kółkach nakręconych; musi mrugać powiekami, nie myśląc o tem wcale; musi jeść, a chociaż ludzie lepiej wychowani czynią to sposobem wykwintniejszym, gmin mniej wybrednym, wszyscy jednak wkładają jednakowo pokarm do ust i jednakowo go przełykają, bo nie mogą się oprzeć gwałtownej potrzebie zaspokojenia głodu. Otóż to są czynności instynktowe. Gdy pszczoła lepi swój plaster, ulega takiej samą nieprzepatniej potrzebie; popycha ją popęd bezwiedny, bezmyślny, wykonywa robotę jak maszynka kluczykiem naprzód nakręcona. Pomiędzy robotnikami w ulu próżniaczków i leniuchów niema, wszystkie pszczołki pracują z jednostajną gorliwością. Nie wielka zasługa, nie doznają nigdy pokusy do próżniactwa lub lenistwa.

— Ach! jakież to dla nas pocieszające — rzekła Helenka — pokazuje się, że te wszystkie wierszyki, bajeczki, w których dzieciom dają za przykład pracowite pszczołki, to sobie są żarty.

— Przykład zawsze przykładem; czemuż dzieci nie mają myśleć, że wstydem jest dla istoty rozumnej nie pełnić z dobrej woli obowiązku, skoro zwierzęta, instynktem wiedzione, nie zaniedbują go nigdy. Praca owadów ma głównie na celu zabezpieczenia życia potomstwa. Pszczoła nie dla nas miód zbiera, lecz dla swoich dzieci, daje im ten sam pokarm, który jęj smakuje. Dziwniejsze daleko, niepojęte prawie, są obyczaje innych owadów błonkoskrzydłych, których dzieci niedorośle, to jest liszki, zupełnie odmienne mają gusta od rodziców. I tak np. osy kopiące, zwane także drapieżnikami, a słusznie im się ta nazwa należy, same piją poczwierze sok z kwiatów, lub owoców, a liszki ich nie innego nie jedzą, tylko mięso, i to mięso świeżuteńkie, ach! co ja mówię świeżuteńkie, one pożerają mięso istot żywych, rozdzierają bez litości drgające członki pożerają żywcem, zwierzyne, przez czułą matkę upolowaną.

— Ach! czytałam coś o tem dwa lata temu w „Wieczorach” — odezwała się Helenka — ale chętnie posłucham i drugi raz opowiadania o tych ciekawych rzeczach.

— O, ja wcale nie potrzebuję powtarzać tego, co już było kiedyś w „Wieczorach”, znajdzie się omylne oprócz tego niemało szczegółów ciekawych, jest w ciem wybierać. Os takich drapieżnych są gatunki liczne, a każde po swojemu, odrębnym sposobem urządzają swoje podziemne gniazda. W „Wieczorach”, o ile mi się zdaje, była mowa o takiej osie, co liszkom przynosiła raz po raz świeżą zwierzyne, sztucznie obezwładnioną. Ja wam przedstawię inną tego samego rodzaju matkę, jeszcze cudowniejszym instynktem obdarzoną, bo ona dzieci swoich wcale nie będzie znała, zaopatruje ich szpiarnią należycie, ginie i liszki same sobie muszą radę dawać. Zkądże ta osa może odgadnąć, że z jęj jajek wyjdą jakieś mięsożerne istoty, które nie będą wcale jadły soku roślinnego, tak przecież ulubionego matkom? Czyż to nie istna zagadka?

— O, to prawda! — zawołał Wacław, który z wielkiem zajęciem słuchał, przekonawszy się, że jeszcze nie wszystko wiedział o owadach — takiej zagadki to i Gołąbka pocztowa nie wymyśli.

— Rozwiązanie jest jednak bardzo proste dla tych, którzy przypatrują się pilnie różnym zjawiskom przyrody i wszędzie, na każdym kroku napotykają ślady widome działania Mądrości przedwiecznej, dobroczynnej Opatrzności, rządzącej wszystkim na ziemi. W państwach roślinnem i zwierzęcem, gdzie taki ład panuje, tak wszystko jest doskonale zastosowane do swojego celu i przeznaczenia, najwyraźniej ten wpływ Opatrzności widzimy. Dlatego to znakomity botanik Lineusz, odkrywając jakiś nowy szczegół z życia roślin, wyrzekł pamiętne słowa, które nigdy zbyt często powtarzane być nie mogą: ujrzałem widomy ślad ręki Bożej. Zkąd owad, który nigdy potomstwa swego nie ujrzy, dokładnie wie jednak czego mu do utrzymania życia potrzeba? Odpowiedź na to jedyna: Opatrzność dała mu instynkt, popęd niepokonany, naglający to stworzenie do zabezpieczenia przyszłych potrzeb potomstwa. Poganie czcili i ubóstwiali

siły przyrody, bo widzieli w nich potęgę nadprzyrodzoną, niepojętą dla umysłu ludzkiego; my chrześcijanie oddajemy cześć Temu, który rządzi temi siłami przyrody, wielbimy Boga w dziełach Jego.

— Ach, panie Adamie! — z zapalem rzekła Helenka dlatego to czytałam gdzieś zadanie, że nauka może być także modlitwą w swoim rodzaju.

— Ale p. Adamie — odezwał się Wacław — proszę nam już coś powiedzieć o tej osie, co ma taki instynkt dziwny.

— Prawda, prawda; człowiek na starość łatwo wpada w gadulstwo. Szczerklina omszona ma figurkę jeszcze więcej wciętą od innych os, krewniaczek swoich, a odwłok jęj, tylna część ciała, uczepony jest na długiej, cieniutkiej niteczce. Strój ma czarny aksamitny z czerwoną opaską; wcale ładnie wygląda jejmościanka. Przyrodnicy utrzymują, że często przesypia zimę i wcześniej na wiosnę wylata z ukrycia, zaraz też zabiera się do urządzania gniazda. Kopie w ziemi nieduży loszek walcowaty i zaraz przysgotowuje sobie porządny daszek; wybiera na to kamyczek płaski, takiej wielkości, ażeby otwór przykrył. Teraz musi pomyśleć o zapasach szpiarnianych. Instynkt jęj powiada, że najzdrowszym pokarmem dla jęj liszek będą gąsienice pewnego gatunku ćmy, żyjące zwykle zagrzebane w ziemi, gdyż podgryzają korzonki roślin. Jeżeli nasza szczerklina umie myśleć, co bardzo być może, musi się dziwić, że rodzone jęj dzieci takie szczególne mają upodobanie; czyż sok kwiatowy nie jest daleko smaczniejszym jedzeniem? Ale jeśli i myśli, to z pewnością nie rozumuje, więc ślepo spełnia to, co jęj instynkt zaleca. Przechadza się po ziemi i pilnie śledzi, gdzie się ukrywają gąsienice. Jakim sposobem poznaje te miejsca? Znowu zagadka. Czy węchem? Ale gąsieniczki, nie mają żadnego zapachu. Czy słuchem? Gąsieniczki siedzą pod ziemią cichuteńko. Trzeba więc chyba przypuścić jakiś zmysł odrębny, ludziom nieznan, lub poprostu instynktowi to przypisać. Dość, że szczerklina staje zawsze w miejscu właściwym, grzebie łapkami, czasem sił jęj zbraknie, daje za wygraną i dalej szuka, lecz tam, gdzie grzebała, na pewno znajduje się gąsienica. Wydobywszy wreszcie zdobycz, oporządza ją zaraz po swojemu.

— Morduje ją, niegodziwa — rzekła Helenka.

— Ba! żebyż po prostu mordowała, nie byłoby w tem nie dziwnego, ani niegodziwego, i my przecież musimy mordować woły, zające, kurczęta i tyle innych stworzeń. Ale gdyby ona gąsienicę zabiła, szczątki popsułyby się prędko, a liszki nie mogłyby się wyżywić zgnilizną. Nie, ona musi im przygotować świeżuteńkie befsztyki, z żywego ciała wyrznięte. Nie odbiera więc życia liszce, tylko ją obezwładnia paraliżuje. Gdyby ta gąsienica mogła się poruszać, wykryć, zrzuciłaby i zdusiła może to drobne stworzenie, które wyjdzie z jajka szczerkliny. Trzeba temu zapobiedz. Nasza osa ma żądło, używa go z taką umiejętnością, jak najbieglejszy chirurg swojego skalpela, zapuszcza ten przyrząd kolejno w najczulsze miejsca ciała liszki, z licznych obrączek złożone, każdej obrączce odejmuje tym sposobem władzę ruchu i paraliżuje ją doskonale. Na domiar ostrożności bierze w pyszczek głowę gąsienicy i lekko ją przygniata, aby nieszczęśliwe stworzenie zupełnie było odurzone i obezwładnione. Sprawiając się w taki sposób, szczerklina niesie zdobycz do podziemnej komórki, znosi jąko na grzbiet gąsienicy i to w miejscu, gdzie jest zaklucie, tam słaba istota, wyszedłszy na świat, najbezpieczniej może rozpocząć ucztę; gąsienica drgnąć nawet nie zdoła, chociaż życie w niej nie ustało, mięso więc jest świeżuteńkie.

— O, mój Boże! — zawołał Wacław — toż doprawdy sztuka nielada. Okrucieństwo to co prawda okropne, aż mi przykro pomyśleć, że ta gąsienica musi być żywcem pożarta, aby mała szczerklina się wychowała; ale jakież to doprawdy cudowne! Taki instynkt! Teraz rozumiam, jaka to rzecz zajmująca śledzić obyczaje owadów. Jak pojedę na wieś podczas wakacji, będę chodził za każdą muchą, uważając, co ona robi, może także odkryję co ciekawego.

— Autor tych książek, o których wspomniałem, nazwiskiem I. H. Fabre, zamieszkał na wsi naumyślnie, ażeby mózdz się poświęcić ulubionym poszukiwaniom, dzieci mu w tem pomagały czynnie. Chcąc dokładnie zbadać, jakim sposobem szczerklina bierze się do oporządzenia zwierzyny, p. Fabre wydierał jęj gąsienicę wyszukaną, natomiast podrzucał drugą, którą sam z ziemi wygrzebał. Godzinami nieraz leżał pod krzakiem, nieruchomy, ażeby nie spłoszyć owadów, na które czatował. A gdy usłyszał zbliżenie w powietrzu, gdy spostrzegł nadlatującą osę, wyteżał wzrok i nie odstępował jęj pęty, póki nie wypatrzył tajemniczych jęj czynności i domowych spraw nie zgłębił należycie. Wieśniacy nieraz go wyśmiewali, nie pojmując, jak może porządkny pan zabawiać się w taki dziecinny sposób, przypatrywać się robocie much i robactwa. Raz nawet wzięty był za waryata, potem znów za kłusownika, złodzieja zwierzyny. Opisuje też wszystkie te zabawne swoje przygody i książki te, głęboko naukowe, czytają się, jak powiastka najciekawsza.

— O, panie Adamie, jak to dobrze, że pan ma te książki, będzie o czem opowiadać, bo co tam musi być zajmujących rzeczy! — mówiła Helenka.

— Zapewne, a i Wacław, jak widzę, nie będzie od tego; przekonał się podobno, że jeszcze nie *wszystko* wie o owadach.

— Wstyd mi doprawdy — rzekł Wacław — bo podobno wielką niedorzeczność powiedziałem. Będę za to słuchał z uwagą największą.

— Na dziś jednak dosyć tego będzie. Zapoznaliśmy się ze szczerkliną omszoną, innym razem opowiem wam różne ciekawe rzeczy o jęj krewniactwach, niemniej mądrych, jeżeli instynkt bezwiedny za mądrość uważać zechcemy.

M. J. Z.

PIERWSZA WYCIECZKA MYŚLIWSKA

MŁODYCH OSADNIKÓW AMERYKAŃSKICH,

przekład z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

Tak rozmawiając sam z sobą, chłopak szedł żwawo naprzód, gdy nagle zaczął nogą o sploty dzikiego wina, pełzające po ziemi u stóp pni drzewnych, zachwiał się, pochylił gwałtownie i o mało nie upadł na ziemię. Utrzymał się jednak w równowadze i stanął na równe nogi. A zatrzymawszy się i odetchnąwszy, spostrzegł dopiero Janek, że to potknięcie się było dlań najszcześniejszym w świecie przypadkiem, uratowało go od śmierci niechybnej. W chwili, gdy zachwiał się i głowę przechylił prawie aż do ziemi, strzała ze świstem złowrogim przeleciała w powietrzu i utkwiała w pniu drzewa na takiej wysokości, iż byłaby niezawodnie trafiła prosto w jego szyję. Nie miał czasu się zastanawiać nad tem szczególnem zdarzeniem, lecz jakimś instynktem zachowawczym wiedziony, przyklął śpiesznie na ziemi i głowę nisko pochylił. Wzrok jednak podniósł ostrożnie i wlepił go w strzałę, która ostrzem utkwiała w pniu głęboko, a drugim końcem pierzastym drżała jeszcze w powietrzu.

Zdradziecka ta strzała wypadła z łuku Arowy. Kiedyś ten chłopak powracał do obozu gdy ujrzał nagle koczującego przed sobą Janka. Nie mógł on zapomnieć upokorzenia, które go spotkało rano z jego przyczyny i nie namyślając się wypuścił strzałę, zapewne zatrutą. Cudowne urządzenie Opatrzności uratowało Janka, ale młody Indyanin, widząc go padającego na ziemię w tej samej chwili gdy strzała jego wyfrunęła, nie wątpił, że trafiła bladego chłopca. Z dzikim

okrzykiem tryumfu poskoczył naprzód, wywijając nożem myśliwskim, bo chciał dokończyć dzieła i zdobyć skalp swęj ofiary, to jest obciąć mu skórę dokoła czaszki i zedrzeć ją wraz z włosami. Taki jest zwyczaj Indyan czerwonoskórych.

Biegł śpiesznie, lecz w połowie drogi przystanął nagle. Spostrzegł bowiem, że blady chłopak nie leżał martwy ani konający na ziemi, lecz klęczał pod drzewem ze strzelbą wspartą na ramieniu, a lufa jęj wymierzona była prosto w pierś zbliżającego się Indyanina. Zadrżał Arowaka, jakby skamieniały stanął i nieruchomy, dziwną siłą przykuty do miejsca, z wyrazem osłupienia wlepił oczy w przeciwnika, który w tej chwili czuł to dobrze, miał życie jego w swęj mocy.

— Stój, Arowako! — ozwał się donośny głos Janka — stój, ani kroku dalej, bo strzelę!

Lecz na ten okrzyk młody Indyanin, zamiast cofnąć się i uciekać, pozostał na miejscu, wyprostował się, podniósł dumnie głowę i ręce skrzyżował na piersiach. Dziwna w nim zaszła zmiana, ochłonął z przestachu, przypomniał sobie, że jest potomkiem wielkiego wodza, że mu niewolno być tchórzem. Nie próbował uciekać, bo nie wątpił, że kula śmiertelna go dogoni, postanowił więc ze zwykłym stoicyzmem indyjskim odważnie stawić czoło nieuniknionej śmierci.

— Arowaka gotów umierać, jak przystało na syna Hua-awa-ony, wielkiego wodza Wyandotów — wyrzekł głosem spokojnym i dźwięcznym — niech Janek strzela, Arowaka nie zmrzy oka w obec śmierci.

— I dziki ten bohater rozłożył ręce, wystawiając pierś odkrytą naprzeciw śmiertelnej lufy. Ale nasz Janek, gotów bronić się dzielnie od napaści, ani myślał mordować bezbronego nieprzyjaciela, chociaż w tym wypadku, każde prawa ludzkie byłyby go niezawodnie uniewinniły, gdyby w obronie własnej zabił przeciwnika, tak jawnie nastającego na jego życie. Jak tylko Arowaka nóż opuścił i przestał grozić, Janek powstał, założył strzelbę na ramię i z uśmiechem wyrzekł:

— Arowako, ja nie mam wcale ochoty z tobą wojować; podajmy sobie ręce do zgody, czy chcesz?

I łącząc czyn ze słowami, podszedł do młodego Indyanina z wyciągniętą dłonią. Co się działo z Arowaką, gdy usłyszał i zrozumiał mowę Janka, gdy ujrzał go zbliżającego się z ufnością i życzliwością, tego wypowiedzieć nie zdołamy. Oczy jego dziwnym zajaśniały blaskiem, po twarzy przebiegł wyraz osłupienia, który zamienił się wnet w jakieś wzruszenie tak gwałtowne, że chłopiec nie mógł głosu wydobyć z piersi. Usta mu drżały, chwycił oddech, poruszał rękami, jakby nieprzytomny, w końcu wyciągnął obie dłonie i zawołał:

— Arowaka bardzo kocha Janka!

Głos jego był miękki, całkiem zmieniony, przejęty głębokim uczuciem. Znać było, że dziki ten chłopiec, dając się porwać namiętnościom gwałtownym od tej chwili w rzeczy samęj kochać będzie tak gorąco Janka, jak gorąco go przed chwilą nienawidził. Wspaniałomyślność białego chłopca wywarła na nim tak potężne wrażenie. O! bo nie ulega wątpliwości, że miłością zwycięża się nieraz najtwardsze, najzawziętsze serca. Arowaka oddałby teraz własne życie za tego, którego przed chwilą, z zimną krwią, chciał zamordować.

A gdy dwaj chłopcy, tak różni postacią, jeden biały i jasnowłosy, drugi o cerze miedzianej i kruczonych kędziarach, przedstawiciele dwóch ras odmiennych, złączeni bratnim uściskiem, zawierali związek serdecznej przyjaźni, zjawił się świadek tej rozrzuwającej sceny, Hua-awa-oma nadszedł niepostrzeżony i z podziwieniem spoglądał z boku na syna i bladego chłopca. Nie pojmował, co się stało, wiedział, jaką złością pałał Arowaka ku zwycięzcy swemu, jakimże cudem teraz dawał mu dowody takiego przywiązania? Ojciec i syn powracali do obozu, w pobliżu rozdzielili się, Arowaka poszedł boczną drogą, może unikał widoku zagniewanego i chmurnego wzroku wodza; tym sposobem napotkał Janka i rozprawił się z nim przed nadejściem ojca.

Teraz, obaczywszy go, pociągnął za sobą nowego przyjaciela i włożył najpierw rękę Janka w dłoń Hua-awa-omy, a potem opowiedział mu całe zdarzenie w swoim języku, z żywością i zapalem wielkim. Janek nie rozumiał słów jego, lecz ruchów i poznał, z wyrazu twarzy, że mówił o jego uczynku z najwyższym uwielbieniem i nie szczędził mu pochwał gorących, a siebie obwinał z pokorą.

Hua-awa-oma słuchał opowiadania syna w milczeniu głębokiem, patrzył tylko to na niego, to na Janka, a w oczach jego dziwne przelatwały błyskawice. Dziki ten człowiek, srogi wojownik, który z krwią zimną mordował nieprzyjaciół, i skalpy ich zawieszał na ścianach swego mieszkania, teraz nie zdołał się oprzeć uczuciu głębokiego rozrzewnienia, które wyrzyło się wyraźnie na jego twarzy. On nie znał dla nikogo miłosierdzia, a oto synowi jego okazano miłosierdzie, jego prawem jedynem było ząb za ząb, oko za oko; gdyby błdy chłopiec według tych zasad postąpił był z synem jego, miałby w tej chwili przed sobą martwe szczątki Arowaki. Wysłuchawszy do końca opowiadania syna, milczał jeszcze przez chwilę, wreszcie wyciągnął rękę do Janka, ścisnął małą jego rączkę w szerokiej swej dłoni i rzekł głosem łagodnym i dziwnie wzruszonym:

— Dziśny młody Anglik! Będzie kiedyś wielkim i sławnym wojownikiem! Hua-awa-oma kocha serdecznie Janka i póki żyć będzie, żaden Wyandota nie wyrządzi krzywdy, ani Jankowi, ani jego rodzinie! Wódz Wyandotów przysięga Jankowi, i rodzicom, i braciom jego, przyjaźń dożgonną!

Janek później dopiero miał zrozumieć doniosłość tych słów wodza; teraz ucieszył się tylko szczerze, iż przyjaźń tak niebezpiecznego człowieka pozyskał, uśmiechnął się do niego życzliwie, mówiąc uprzejmie:

— Rad jestem bardzo, że Hua-awa-oma chce być przyjacielem moim. Ja także odtąd będę kochał Arowakę i spodziewam się, że będziemy z sobą zawsze w zgodzie żyli. Wódz Wyandotów i syn jego mogą liczyć na mnie, zawsze każdemu z nich z ochotą przysługę wyrządzą, ile razy sposobność do tego się nadarzy. Przyszła ta miała skutki nie-małej doniosłości, o których opowiemy czytelnikom naszym w osobnym rozdziale.

XVII.

Oswobodzenie jeńców.

Indianie amerykańscy za największą cnotę uważają panowanie nad sobą i znoszenie cierpień fizycznych bez najmniejszej skargi, bez okazania nawet wzruszenia. Wojownicy, gdy wpadną w ręce nieprzyjacielskich plemion, zwykle skazywani są na śmierć w okrutnych męczarniach, lecz uważa liby to za hańbę największą, gdyby który zdradził się z cierpieniem, wydał jęk lub syknął z bólu. Zwykle znoszą to wszystko w milczeniu, wyglądają przytem zupełnie, jak posągi kamienne.

Ponieważ ukrywają starannie wszelkie oznaki uczucia, jako naganną słabość, niejedni wyobraża sobie, że ci ludzie nie mają serca i nie umieją kochać swoich dzieci. Ale to jest błąd wielki, i matki i ojcowie, pieszcą je, otaczają tkliwością, przywiązanie ich do potomstwa w niczem się nie różni od uczuć, oświeconym ludziom właściwych. Coprawda często obchodzą się, z synami zwłaszcza, tak surowo, że wygląda to na okrucieństwo; lecz postępują tak jedynie ze względu na dobro tych dzieci, w duszy zaś boleją nad każdym ich cierpieniem.

Tak było i z wodzem Wyandotów. Ten srogi Hua-awa-oma mógł łać a nawet bić syna, bo uważał to za potrzebne dla jego wychowania, co nie przeszkadzało mu jednak miłować go nad wszystko; ojciec ten, tak samo jak każdy ojciec, oddałby był życie za dziecko swoje. Gdyby Arowaka trafił w serce Janka Gedneya i zabił go na miejscu, wódz Wyandotów nie zganiłby mu tego wcale; skoro uważał białego chłopca za swego wroga, miał prawo go zamordować, taka jest moralność dzikich ludzi. Ale ponieważ mu się nie udało, Janek miał z kolei też same prawa, życie Arowaki należało do niego.

(d. c. n.)

Kameleon

SZARADA.

(Od Gołąbki pocztowej dla Kameleona).

Druga pierwsza u Turków jako świętość słynie,
Śpieszą do niej pielgrzymi przez spiekle pustynie;
Trzecie czwarte jest imię dostojnego męża,
Który wielką piastuje władzę — bez oręża.
Pierwsze wprost odczytane, wspak *drugie i trzecie*,
To będą trzy litery w każdym alfabecie.
Czwarte samo zaimek, a zaś wszystko razem
Zwierzątko; nazwa jego zmienności obrazem.

ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA (J. P.)

Niwa — jar — szyb — kres.

Przestawiając litery, nie ujmując i nie dodając, utworyć tytuł pięknej powieści.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 15-go.

Szarady:

Tur — kot.

Lamigłówni geograficznój:

A	P	P	E	N	Z	E	L
s	P	o	k	o	j	n	y
l	i	P	o	w	i	e	c
s	z	l	E	s	w	i	g
h	o	l	a	N	d	y	a
c	u	s	t	o	Z	z	a
a	r	a	n	j	u	E	z
p	r	z	e	m	y	ś	L

TRĘŚĆ: Marya Julia z Perłowskich Zaleska, p. Zofię Urbanowską (z portu em' — Najnowsza powieść Deotymy (c. d.). — Wiosna w Laponii (z drzew.) — Pracownia pana Adama, pogadanka naukowa, p. J. J. Z. — Pierwsza wycieczka myśliwska młodych osadników amerykańskich, przekład z angielskiego (c. d.). — Lamigłówni i rozwiązania. Dodatek: Wróblek wiersz, (z drzew.) — Dobre siostrzyczki p. Wu-Eł. — Ślizgawka, opowiadanie Wiochua z pod Lublina (c. d.). — Lamigłówni i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy. Dł. n. — powieść Joanny Hering przełożona z angielskiego przez T. P.



Wróbel.

WRÓBELEK.

W dzień urodzin, do Janeczki,
Zeszły się raz panieneczki,
Bawiły się rozmaicie:
W przepióreczkę, w srebrnym życie,
W myszkę którą kotek goni,
W kurę co kurczątek broni,
W cztery kąty i w sąsiady,
I w zagadki i w szarady,
Rozbawiono się do woli,
Aż na „wróbla” przyszła kolęj.
Gromadka się rozhulała,
Stoi w środku Janka mała,
One zaś zrobiwszy „koło”
Krążą w okół niej wesoło
Coraz szybciej, żwawo, żwawiej,
Coraz głośniej młódź się bawi,
Aż zaśpiewa z całej siły:
Do Janeczki małej miłej:
„Chodzi wróbel po ulicy,
Szuka żyta i pszenicy,
A my wróbla otoczymy,
Niech nam powie kto mu miły,
Kto mu miły niech wybierze,
Kogo kocha, powie szczerze”.

Tak dziewczynki zaśpiewały
Krążąc w koło Janki małej,

A Janeczka na to mała
Stojąc w kole, tak śpiewała:

„Chodzi wróbel po ulicy,
Szuka sobia ziarn pszenicy,
Ja nie wróbel, ja dziewczuska,
Nie chcę ziarnek, chcę serduszka,
W przyjaciółkę stoję kole
I wybiorę kogo wolę...”

I zamilkła Janeczka i stanęła nieruchoma:

— A wybierajże, wybieraj! — wołały dziewczynki.

— Tak!... a jakże wybierać kiedy ja was wszystkie
serdecznie kocham!... — odrzekła zakłopotana. — Myślę
i myślę i ani raz namyśleć się nie mogę.

Panienki rozśmiały się, uściskały Janię i przyrzekły
sobie zawsze kochać się wszystkie, bez wyboru.

DOBRE SIOSTRZYCZKI.

— Ach Boże! Wszak to już dziś Wielki Piątek,
a ten niegodziwy katar i kaszel wciąż mię trzyma na
uwięzi w domu — mówił na wpół z płaczem dziesięcio-
letni Mieczysław, kichając głośno.

— Na zdrowie, na zdrowie! — zawołały jego sio-
stry wchodząc właśnie do pokoju.

— Nie będziesz jeszcze mógł dziś wyjść, mój drogi
— mówiła potem starsza z nich, Cesia — mama powiada,
że lepiej przesiedzieć te parę dni w domu, żeby zupełnie
wyzdrowieć na święta.

— Nie będę więc już oglądał grobów w tym roku —
westchnął Mieczysław. Ach! jakie wy szczęśliwe, że wy-
chodzić możecie!

— Myślałyśmy już — rzekła młodsza siostra Madzia — żeby ci wynagrodzić przykrość siedzenia w domu małą przyjemnością, i urządziłyśmy grób na wzór tych, co bywają w kościele w Wielki Piątek.

— Jakto, grób? — zawołał Mieczysław.

— Tak, grób — rzekła z uśmiechem Cesia — tylko naturalnie w mniejszym rozmiarze.

— Chodź to zobaczysz — dodała Madzia, biorąc za rękę braciszka, i wszyscy troje przeszli do sąsiedniego pokoju.

Na stole, przy oknie, stał tam oddawna już zaniebany duży tekturowy teatrzyk Mieczysia, którego zdziwionym oczom przedstawiła się teraz owa zniszczona tekturowa budowla jako śliczna grota pełna zieloności, kwiatów i roślin piętrzących się niby palmy wspaniałe, przy białej postaci Chrystusa złożonego w grobie, oświetlonej kolorowymi świeczkami. Wszystko było tak ładnie i zręcznie zrobione, że gdyby nie objętość miniaturowa, zdawałoby się, że to grób w kościele parafialnym Mieczysia, u św. Aleksandra.

— Ach, jaki śliczny grób — zawołał uradowany chłopczyk — nierozumiem, jak potrafiłyście zrobić to wszystko.

— To już nasza tajemnica — rzekła Cesia — dość, że masz to co widzieć pragnąłeś. — Wybrałyśmy wszystkie kwiaty i trawy z naszego zielnika, dodawszy rośliny w doniczkach. A czy nie ładnie wygląda tam w górze, w transparencie, ten piękny obrazek ze złocistą monstrancją wpośródku?

— Ach, moje drogie siostrzyczki, czemu odpłacę waszą dobroć dla mnie — zawołał rozrzuwiony Mieczysław, serdecznie ściskając obie panienki, lecz cóż znaczy obok ten stolik z tacką i obrazkami świętych?

— Ponieważ każda przyjemność połączona być powinna dzisiaj z dobrym uczynkiem — rzekła Madzia — Mama zawiadomiła wszystkie znajome dzieci, że nie wychodzisz i zbierasz datki dla ubogich przy grobie Zbawiciela, urządzonym w domu; spodziewamy się więc, że będziesz miał odwiedzających i zamiast zbierać obrazki, sam je będziesz rozdawał.

W tej chwili, jakby na potwierdzenie słów Madzi, głos dzwonka oznajmił przybycie gości, i wnet gromadka chłopców i panienek otoczyła ciekawie dzieło obu dziewczynek. Nie będziemy opisywać pochwał i zachwytów małych gości, powiemy tylko, że kwesta udała się doskonale. Mieczysław zebrał przeszło 15 złotych, które oddał biednym dzieciom ulicznego posłańca na święcone, Cesia zaś i Madzia uradowane z przyjemności jaką zrobiły bratu, cieszyły się jeszcze słysząc, jak Mieczysław dzieląc się jajkiem z kolegami, mówił: „Oby was Bóg obdarzył tak dobrymi siostrami jak moje”.

Wu-Er.

ŚLIZGAWKA.

Opowiedziała Wiochna z pod Lublina.

(Dokończenie).

Wtem drzwi skrzypnęły... mama wracała, Janek bez szelestu wysunął się na korytarz, równie cicho prze-

biegł wschody i wszedł do pokoju. Ciemno tam było, chłopiec jednak nie myślał zapalać lampy, siadł przy oknie i oparłszy głowę na rękach, zadumał się głęboko. Noc była piękna, pogodna, księżyc przed chwilą wypłynął na niebo i bladym, łagodnym swym światłem ożywiało nieco posępny, zimowy krajobraz, jasne gwiazdki tymczasem błyszczały migotliwie, rzucając ukośne, figlarne spojrzenia na cudny świat Boży. Widno było jak w dzień od roziskrzonego nieba i białego śniegu, który pokrywał wyniosłe drzewa i niskie słomiane strzechy, ogrody i pola, szeroki gościniec i pobliski staw, a skrzytał mocno pod nogami przechodniów.

Biednego Janka nie cieszył ani zachwycił widok niezrównanej nigdy w swych obrazach przyrody, serce jego dręczyły zaczęły nieznośne wyrzuty sumienia, które uspione dotąd obudziła ta blada twarzyczka, te śpiączkowe usteczka, w gorączce nawet wymawiające jego imię. Biedna Marychna cierpi z jego przyczyny, a taka zawsze dobra, taka miła i serdeczna, cicha i niewymagająca.

W pamięci chłopca żywo stanęły wszystkie jego przewinienia względem siostry od czasu znajomości ze studentami. Ach! ta znajomość! gdyby nie ona, wszystko byłoby dobrze... wszystko inaczej... a teraz... Co za zmartwienie dla rodziców, którzy cieszyli się tak dotąd miłością i zgodą dzieci! Ojciec widocznie dawniej już uważał pewne nieporozumienie między dziećmi, bo do czegoż odnosiłyby się jego słowa: „Czy znowu jakie sprzeczki?” Co to za przykrość dla niego, wstydzi się pewnie za najstarszego syna, nie ucałował go nawet na dobranoc. A mama nic nie mówiła, ale martwi się także, widać to z jej oczu takich smutnych, zapewne nie tylko z powodu choroby córeczki. Co zaś do Marychny, ta pewnie nigdy nie przebaczy bratu; chociaż nie... ona taka dobra, trudno ją sobie wyobrazić zagniewaną na kogo, ale Janek sam nigdy sobie nie wybaczy, ile razy na siostrę spojrzy, przypomni sobie swoje złe serce, niegrzeczne słowa, jakimi do niej przemawiał, bo podobno szrama na całe życie zostanie.

Ach! to najgorsze ze wszystkiego, bo już zawsze pozostanie, jako smutne wspomnienie tego wypadku, choć nawet rodzice i Marychna przebaczą i zapomną. Chłopiec nigdy nie widział szramy, jak też to wygląda?... A prawda, przed kilku dniami przyszedł po prośbie stary żebrak z czerwonym pasem na nosie i mówił, że to szrama, pamiątka bijatyk młodych lat, gdy w kłótni z towarzyszami o mało nie postradał nosa. Fe... czyżby Marychna miała się stać podobną do tego szkaradnego dziada? Wprawdzie nie zraniła sobie nosa, jak tamten, ale i na czole bardzo brzydko z taką czerwoną kresą, a to wszystko z winy niedobrego brata.

Takie to smutne myśli zajmowały Janka, gdy wśród ciszy nocnej siedział nieruchomy, zapatrzony w gwiazdzone niebo. Powoli drobne białe obłoczki zastąpiły księżyc, zbierając się w coraz gęstsze chmury, w pokoju stało się ciemniej, straszniej, a i w sercu chłopca dziwny smutek zapanował, łzy nabiegały mu do oczu i w końcu pokonany szczególnym rozdrażnieniem, zapominając, że jest mężczyzną, z głośnym płaczem padł na kolana przy oknie, zakrywając twarz rękami.

W tej chwili drzwi się odemknęły z cicha i mama,

która codzień przychodziła zobaczyć, czy roztrzępany chłopiec nie zapomniał lampy zgasić, weszła na palcach, bez świecy, żeby nie obudzić synka. Widząc że w pokoju ciemno, chciała się już cofnąć, gdy wtem księżyc znowu na niebo wypłynął, i przy srebrzystem jego świetle ujrzała ciemną, drobną postać, w rogu okna skuloną.

— Co to jest? — zawołała mama, podchodząc żywo.
— To ty, Janku? cóż tu robisz? wiesz, że już po jedenastój, kładź się spać zaraz.

— Mamo... ja nie mogę spać... Marychna...

— Marychna lepiej, usnęła teraz spokojniej i da Bóg za tydzień zdrową będzie zupełnie — odparła mama, nie pytając o powód żalu, bo tklivem sercem odgadła, o co idzie synowi.

— Mateczko... a szrama, czy na zawsze pozostanie?
— zagadnął znów chłopiec głosem przerywanym łzami.

— Nie martw się, Janku, mały znaczek pozostanie zapewne, ale włosy go zasłonią.

— Włosy?... Ale czy to naprawdę nie zeszpeci Marychny?

— Mam nadzieję, że nie... naturalnie, że nie, skoro znaczku wcale nie będzie widać z pod włosów.

— Prawda... jak to dobrze... a czy Marychna mi przebaczy? — dodał niespokojnie.

— Wątpię, czy choć przez chwilę gniewała się na ciebie, przez sen, w gorączce ciągle o tobie najczuliej wspomina. Ale kładź się już, synku, zmów pobożnie pacierz, a da Bóg wszystko na dobre się zmieni.

Matka ucałowała Janka tklivie i serdecznie, i wróciła do siebie, a chłopiec długo jeszcze po jej odejściu modlił się gorąco do najlepszego Stwórcy o zdrowie dla Marychny i poprawę dla siebie.

Na drugi dzień dziewczynka czuła się już dużo lepiej, nie posłano nawet po doktora i tylko wątlęj jej budowie przypisać to można, że przez kilka dni nie opuszczała wcale łóżka. Przez cały ten czas Janek, jakby chcąc wynagrodzić dawne swe przewinienia względem siostrzyczki, pielęgnował ją z godną podziwu troskliwością. Ślizgawka, saneczki, a nawet „panowie studenci”, zdawali się nie istnieć dla niego i godziny całe spędzał przy łóżeczku chorąg Marychny, czytając jej głośno, rozmawiając z nią, i, któżby temu uwierzył? pomagając jej czasami w ubieraniu lalek, gdy małemi rączkami osłabionemi przez chorobę, nie mogła sama sobie dać rady. Niekiedy piastunka przynosiła także szczebiotkę Anię, która małemi swemi figielkami pobudzała wszystkich do serdecznego śmiechu.

Później, kiedy Marychna już wstała, Janek nie opuszczał jej również i ciągle dotrzymywał towarzystwa, a gdy rodzice dla zdrowia kazali mu przejść się na świeżem powietrzu, obierał zwykle uliczkę pod oknem siostry, z kąd podniósłszy trochę głowę, mógł w każdej chwili ujrzeć za szybą jej uśmiechniętą twarzyczkę. Od ślizgawki wymawiał się stanowczo, mówiąc:

— Jak Marychna wyzdrowieje, razem pójdziemy.

Szczęśliwy to był dzień, gdy Marychnie wolno było nareszcie iść na łód z bratem. Zaraz po obiedzie, korzystając ze słońca, wybrali się oboje, Janek ciągnął

saneczki, Marychna, otulona ciepłą chustką, postępowała obok niego, ślizgać się dziś jeszcze nie mogła dla braku sił. Rozmawiając wesoło, doszli do sadzawki, gdzie ślizgali się już uczniowie, pragnący, w czasie ostatnich dni wakacyj, użyć dowoli ruchu i swobody. Na ten widok, Janek zarumienił się bardzo. Czy też „panowie studenci” zechcą się z nim zadawać, widząc go w towarzystwie dziewczynki, oni tak nie lubią panienek, nazywając je „kozami”.

— Ale moja Marychna nie jest kozą — pomyślał z pewną dumą, jest dobrą, kochaną siostrzyczką, jakiej zapewne żaden z nich nie ma.

Pocieszony tą myślą, odważnie podszedł bliżej. Chłopcy, zręcznie sunąc na łyżwach, zbliżyli się także, grzecznym ukłonem powitali Marychnę, która dygnęła im z uszanowaniem, a z Jankiem koleżeńskim zwyczajem ścisnęli się za ręce.

— Słuchajno — rzekł Wacek — czegoś tak długo nie przychodził? my tu jesteśmy codzień, bo ślizgawka lepsza, jak u wuja w Woli. Nauczylibyśmy cię holendrów na lodzie, przekładańców i mnóstwo podobnych awantur, ale teraz wszystko na nic, bo pojutrze wyjeżdżamy.

— Siostra była chora, nudziła się sama w domu, zostawałem dla jej towarzystwa.

— A, to co innego; ale cóż było pannie Marychnie? — zagadnął grecznie Stefan.

— Upadłam na ślizgawce i skaleczyłam się w głowę.

— To panienka się ślizga? trzeba było chodzić na łód z nami, toby nie było wypadku.

— Prawda — dodał Wacek — Janku, czemu nie przyprowadziłeś z sobą nigdy siostry?

— Myślałem — szepnął Janek — że wy się z dziewczętami nie bawicie, nazywacie je przecież kozami.

— Dudek jesteś, mój kochany: mówi się wiele niemądrych rzeczy, bo słowo to wiatr, ale z czynami co innego, te powinny być rozsądne, a greczność dla pań i panienek jest pierwszym obowiązkiem każdego rycerza, zatem i studenta, rozumiesz, mały? Na dowód zaś tego, przewieziemy pannę Marychnę saneczkami, jak to często robimy z naszymi siostrami — zakończył Stefan.

Tak więc zniknęła ostatnia chmurka, zaciemniająca obecne szczęście Janka, który nazawsze pozostał wzorowym bratem. Co do Marychny, wyrosła na ładną, dobrą i rozsądną panienkę, szramy zaś ukrytą pod bujnemi włosami nie widać wcale.

ZAGADKA GŁOSKOWA (J. P.)

Ost — Rok — tak.

W tych trzech wyrazach poprzestawiać litery w innym porządku, aby z nich utworzyć trzy zgłoski, odmienne, a te, złączone razem, powinny utworzyć nazwę pięknego kwiatka.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 16-go.

Zadania kropkowanego:

Już mrok zapada, nigdzie drogi ni kurhanu,
 Patrzę w niebo, gwiazd szukam, przewodniczek łodzi,
 Tam zdale błyszczy obłok, tam jutrzienka wschodzi,
 To błyszczy Dniestr, to weszła lampa Akermanu!
 (2-go strofu sonetu Mickiewicza „Stepy Akermańskie”).

Łamigłówki kryształowej:

M
 D O N
 D A N I A
 C A L I C U T
 M O N I U S Z K O
 K N Y S Z Y N
 W E Z Y R
 O K A
 O

Skrzynka do listów.

Kukułkę i Cieczotkę zapisujemy pod tym podwójnym pseudonymem, ale radzimy, kochanym ptaszkom, pisać starannie, bo nazwiemy was: bazgrzące kurki. No, czy się nie pogniewacie?

Myśliwiec źle się przypatrzył obrazkowi, inaczej widziałby krzewy okryte liśćmi, a te zimne przedstawiać nie mogą. Radzimy botanikę dr. Pokornego. Co do Kazia temu przyrzekliśmy dyskrety.

Juliusz Cezar wspaniały wybrał pseudonym, a więc *ave Caesar!*

Wróbelek z nad Wisły przysłał liścik bez daty i okropnie nabazgrany. Bardzo lubimy wróbelki, popraw się więc, bo cię ganić nie chcemy.

Gałązka bzu ładnie pisze, witamy ją z radością niech nam Maj i upragnioną wiosnę zwiastuje.

Wichura ze stepów usłuchała i wyraźny napisała liścik, cieszymy się dobrem gospodarstwem Wichury, a Gołąbka za pamięć serdecznie dziękuje.

Jedynaczka bać się nas nie powinna, owszem ponieważ mamy już Rozpieszczoną i Kapryśną, jedynaczkę sądzimy, że ta pewnie będzie *wzorową*. Czy prawda?

Niezapominajce z nad Łydyni posłaliśmy żądany numer kosztuje kop. 10.

Szarotka Tatrzańska dobre przysłała rozwiązanie, a **Niezbudka** z nad Chomoru trafnie odgadła łamigłówkę.

Pegazowi Skrzydlatemu. Powiastkę drukujemy pod innym tytułem.

Muchołówece. Rozwiązanie zadania konikowego dobre.

Promyczkowi. Szarada będzie drukowana, lecz prosimy o cierpliwość, bo mamy ich wiele.

Księżniczce Wrzesów (bo ten pseudonym podobał nam się lepiej), serdecznie dziękujemy za liścik, nie tylko miły i pochlebny dla nas, lecz pięknie napisany i z radością w niej witamy nową korespondentkę. Prosimy też, aby siostrzyczki pisywały do nas.

Stasi B. w Mińsku. Cieszymy się bardzo, że siostrzyczka Śnieguły odzywa się do nas i ściskamy ją serdecznie w zamian za

pocałunki, które nam przesyła. Pismo bardzo dobre, nie trzeba więc tak źle o niem trzymać.

Luci G. w Cebrze. Prosimy o przysyłanie nam liścików do drugich *zawsze* na oddzielnym kawałku papieru, bo inaczej nie będą drukowane.

Kochany Farysie! Czytałem do ciebie odpowiedź od redakcyi, i zdaje mi się, że się znamy; czy nie nazywasz się M.? Donieś mi o tem jaknajprędzej. Delfin.

Kochane Rajske Jabłuszko! Chcę do ciebie pisywać przez Wieczory. Czy się zgadzasz na to? Co ci się podoba w Wieczorach? Mnie się najlepiej podobają Najnowsza powieść Deotymy i Dzieci Klanu. Proszę o odpowiedź. Twoja Świtezianka.

Drogi moje: Staszko, Jagódka z Podola, Łezko, Cyganeczko, Śmietanko, Detyno, Amato, Jedlinko, Kapryśna i Rozpieszczona Jedynaczko, Jaskółka z nad Sekwany i Dunaju, Stokrotko wołyńska, różowa, z nad Pilicy i Stochodu, Niezapominajko z nad Warty i Łydyni, Wiselko, Baniuto i wy wszystkie towarzyszy pisujcie do mnie, a ja wam pewno odpowiem. Przedstawiam się wam. Wyobraźcie sobie dziewczeczkę lat 14 wysokiego wzrostu, Hajduczka Helę (tak mię nazywają) lubiącą bardzo nauki i muzykę jak również konną jazdę, tańce, huśtawkę i wszystkie nieszkodliwe figle, a także odpisywać na wasze miłe liściki. Kończę ze strachu by list nie był obciążony... Różyczka biała z Wołynia.

Kochany Nieznajomy! Zdaje mi się, że się dobrze znamy. Mnie na imię Leon, mam lat 10, jestem w I-jej klasie, donieś mi coś o sobie. Serce prawe.

Kochana Semiramis! Dziękuję ci za liścik, i proszę mi powiedzieć, czemu wzięłaś tak niezwykle pseudonym? Powiedz mi także w której stronie mieszkasz. Ściskam cię, Jaskółka z nad Sekwany.

Kochana Etno, z nam cię z opowiadania mojej nauczycielki, która jest siostrą twoją. Ile masz rodzeństwa i czy lubisz muzykę? bo ja dosyć; odpisz prędko Konwalijce różowej.

Droga Baniuto! Przepraszam cię, że tak długo czekać musiałaś na mój list, lecz w zimie na serjo użyć się trzeba i niewiele miałam wolnego czasu. Jak to dobrze, że wiosna nadchodzi, będzie można jeździć konno, na co bardzo się cieszę, bo dostałam nakoniec dużego konia, (dotąd musiałam się zadawać kucami) mamy też małą bryczuchę i parę myszowatych kuców, którymi wyćieczki zamierzamy robić. Napisz mi czy lubisz się ślizgać i tańczyć, bo ja bardzo. Zmieniłam pseudonym, nie jestem już Jaskółką. Ucałuj Zawieję i p. H. B. Ciebie ściska. Staruszka.

Droga Przepiórko z Bychowa! (dodałam dla tego, że już jest druga.) Spełniam obietnicę daną ci w L. Mieszkasz teraz w M., zdaje mi się, że się prędko zobaczymy. Nie wiem czy zgadniesz, kto ja jestem, ponieważ zmieniam pseudonym ze Sroczi z nad Dniepru na Aldone. Ty masz dwie siostrzyczki Belę i Marutę i braciszka, twoje imię Liza. Jak się ma Mania J. Przy widzeniu opowiem ci dużo rzeczy. Napisz mi czy zgadłam kim jesteś. Twoja Aldona.

Luba Przepióreczko! Wielką mi przyjemność zrobiłaś swoim listem i chciałabym bardzo z tobą korespondować. Imię moje Jadzia, mam starszą siostrzyczkę Zosię, a ty czy masz rodzeństwo? Donieś mi moja Przepióreczko w jakiej okolicy mieszkasz? Liściku od ciebie oczekuję, Szara Kotka.

Moje drogie Jedlinko, Śmietanko i Brzydotko z nad Tamizy! Serdecznie wam dziękuję za liściki i pozdrowienia, które mi zawsze wielką przyjemność sprawiają. Jedlinco kochanej donoszę, że dla tego sobie ten pseudonym obrałam, że grałam niektóre piosenki z opery Moniuszki, które mi się bardzo podobały. Brzydotko droga, jak ci się podoba w nowym miejscu? Lubę Śmietance przesyłam tysiące całusów, a siostrzyczkom uściśnienia. Jak wam się podobają „Dzieci Klanu”? Mnie ta powieść bardzo zajmuje, szczególnie podoba mi się Halwar. Czekaająca na odpowiedź, życzliwa Halka z Litwy.